ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 25-go Lutego 1897. Nr. 8.

,,Światło'' wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa ,,Katolika'' w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PROMIEŃ SŁOŃCA.

(Dokończenie.)

Józef wzdryga się na myśl podobną. On wie, jak to trudno przechodzi przez usta wyraz: »dawaj«. Niedawno mało mu w gardle nie uwiązł, chociaż zwrócił się z nim do brata i choć nie uczynił tego dla siebie...

Bóg świadkiem, że zrobił to jedynie dla dzieci Konstantowej, które go nazywały pieszczotliwie wujaszkiem i dopominały się u niego lodowatego cukru, nie wiedząc, że w domu nie ma chleba.

Rumieniec wstydu okrył twarz jego aż po białka oczu, gdy brat, cedząc przez zęby wyrazy, rzekł:

— No dobrze już, dobrze, dam ci, ale pamiętaj, że jeżeli to na jaką hulankę, to będziesz miał je na sumieniu, bo byś przez to skrzywdził moje dzieci...

Jego dzieci... Wszak on także, jeżeli prosił, to tylko dla dzieci innych, które dziecięcym szczebiotem, żądały od niego łakoci, a którym on chleba przynieść postanowił.

Wziął, ale gdy potem, nakrywszy czapką głowę, szedł śpiesznym krokiem ku domowi, zdawało mu się, że go wszyscy palcami wytykają, mówiąc:

— Patrzcie, i ten także nauczył się rękę wyciągnąć, choć taki młody i zdrowy...

Gdy tak myśli, Staś budzi się i woła:

— Mama!...

— Czekaj syneczku, mama zaraz przyjdzie, przyniesie Stasiowi cukru lodowatego.

Maleństwo nie wierzy...

— Cukru? — pyta niewyraźnie po swojemu bo inaczej nie umie, a w głosie jego czuć powątpiewanie...

— A jakże Stasieczku — utwierdza go w mocno zachwianem zaufaniu Zosia — przecie mama po to wyszła.

— Nie tylko po to — dodaje Józef. — Będą także węgle w piecu i herbata i chleb...

— Z masłem chleb! — kończy głośno uradowany i przekonany już Stasio i wyskakuje z łóżeczka i zaczynają oboje z siostrą tańczyć po ciemnym pokoju...

Na to wchodzi Konstantowa.

— A widzi pani, jak my się dobrze bawimy — z uśmiechem powiada do niej Józef, podczas gdy dzieci biegną i tulą się do niej, wołając:

— Cukru! chleba!...

— Zaraz — odpowiada matka, — zaraz moje drogie, tylko lampę zapalę.

Za chwilę jasno już w izdebce, za chwilę jeszcze słychać trzaskanie węgli, a jeszcze za chwilę bulgotanie gotującej się wody...

Dzieci tymczasem chciwie gryzą drobnemi zębami chleb, a Staś zapomina, że wyobrażał sobie, iż chlebek będzie z masłem... Nie dziw, biedactwo od wczorajszego wieczora prawie nic w ustach nie miało...

Woda na herbatę już się gotuje, ale Konstantowa postawiła na blasze

inny jeszcze garnek z wodą i nieśmiało spoglądała na Józefa...

Ten udaje, że tego nie widzi i bawi się kłopotem swojej gospodyni i kumy.

— Panie Józef — zaczęła wreszcie — nie gniewajcie się na mnie, ale ja wydałam trochę waszych pieniędzy na siebie... jak mój przyjdzie, może przyniesie, to wam odda...

Józef jeszcze na to nic...

— Panie Józef, dalibóg to nie dla mnie, to dla dzieci...

— A czyż ja tego nie wiem, — przerywa jej wreszcie z uśmiechem. — Konstantowa myśli, że ja od razu nie widziałem, coście przynieśli pod chustką... No, no... sypcie prędko tę kaszę do garczka, bo Stasiowi i Zosi jeść się chce... Nieprawdaż malcy?...

— Jeść się chce! — powtórzyły dwa dziecięce głosiki, dla tego jednak tylko aby powtórzyć, bo chleb ich pierwszy głód zaspokoił...

Była to uczta, co się zowie... Dzieciaki, najedzone i rozbawione, długo jeszcze przerywały szczebiotem i śmiechem srebrnym ciszę, gwarzyły z matką, nie dały spokoju Józefowi, aż wreszcie zmęczone posnęły na kolanach matki...

Gwar miasta ucichł już zupełnie, tylko światło latarni migało, słabo poruszane podmuchem wiatru i tylko słychać było odgłos miarowych kroków stróżów nocnych.

Konstantowa długo siedziała, przytulając dzieci do siebie, i biegła myślą... za mężem...

— Ale ja o panu zupełnie zapomniałam, panie Józefie; pan się pewno spać chce położyć...

— Nie spieszy mi się. Nie ma po co wstawać rano... Do czego wstawać?...

— No ale zawsze, spoczynek każdemu się należy... Jutro pan znowu pójdzie szukać roboty i znów się pan schodzisz...

Józef machnął ręką...

— Czekaj pan, ułożę Stachurka i Zosię, to panu łóżko pościelę...

Zakrzątała się koło gospodarstwa, ale szło jej jakoś niesporo...

Na ulicy odzywały się od czasu do czasu ochrypłe głosy pijackie i słowa hulaszczej piosenki, a Konstantowa nasłuchiwała mimowoli...

Mąż jej dotąd nie pił, był uczciwym i trzeźwym robotnikiem... W domu widział świat cały a śpiewając nad kołyską dziecka, nie pożądał innej zabawy.

Ale teraz... próżniactwo przymusowe wiele złych myśli podszepnąć może... A nuż zaczął pić ze zmartwienia... Kolegów w szynku znaleść łatwo... Zwłaszcza, gdy spostrzegą nowicyusza, nie zaprawionego jeszcze do wódki...

Kupią mu jej raz i drugi, wiedząc, że raz wciągnięty do kółka pijaków, odda im z procentem... a potem to tak przyjemnie powiedzieć sobie:

— A cóż to ten Konstanty lepszego odemnie!... Takeście go wszyscy chwalili, że niewiniątko, że każdy grosz zarobiony żonie oddaje, a cóż on?... Taki pijak jak ja, albo nawet i gorszy odemnie.

Z ulicy głosy pijaków słychać było wyraźniej, kilku podochoconych ludzi wszczęło sprzeczkę, ta przeszła szybko w kłótnię, by po chwili w bójkę się zamienić; krzyki »pomocy« »ratujcie« zmięszały się z gwizdawką policyanta...

Konstantowej blaszane łyżki wypadły z ręki...

Staś się obudził.

— Tata!... — zawołał na pół przez sen...

— Cicho Stachurku, tatusia nie ma... tatuś zaraz przyjdzie.

— Poszedł do roboty na chleb, szczebiotało dziecko podnosząc się na łóżeczku...

— Na chleb, mój złoty, śpij tylko spokojnie...

Staś usłuchał, położył się znowu. Z usteczek jego wychodziły jeszcze wyrazy coraz cichsze, coraz niewyraźniejsze aż usnął z uśmiechem na ustach...

Szczęśliwe dziecko! Zapatrzyli się nań i Konstantowa i Józef i zapomnieli, że

hałas na ulicy umilknął tylko na chwilę, pod grozą policyantów, oraz że potem wznowił się tem groźniejszy.

Nie, to nie była kłótnia; to raczej prowadzono rozmowę krótką, urywaną, namiętną, przy której wściekłością zdawały się dyszeć piersi, biorące w niej udział...

Gwar ten pod latarnią wstrząsnął Konstantową...

Przypomniała sobie, że dzieckiem jeszcze będąc, słyszała gwar podobny.

Cały warsztat zawrzał wtedy przeciw podmajstrzemu cudzoziemcowi. Aż oto teraz wskrzesza jej smutne wspomnienia dzieciństwa inny gwar, tak do tamtego podobny.

Gdyby Konstanty miał się znajdować między nimi, gdyby jasnowłosy kusiciel znowu dawał mu piekielne rady.

Nie, nie i tysiąc razy nie... Zapomina o dzieciach, o sobie, o wszystkiem... Pragnie biedz na ulicę, chwyta już za klamkę odedrzwi...

Zatrzymuje ją Józef.

— Gdzież to pani Konstantowa?

— Na ulicy hałas, może tam i mój...

— Gdzie zaś...

— Ale ja muszę zobaczyć...

— No, to czekaj pani, czego będziesz na ulicę i jeszcze tak późno od dzieci chodzić. Ja pójdę i zobaczę.

— Jakiś pan dobry...

Józef wziął czapkę. Młoda kobieta została z dziećmi śpiącemi spokojnie i z myślami, które coraz niespokojniej biegły i do męża i w przyszłość.

Ten cudzoziemiec, który wszelkiemi sposobami gnębił robotników, blady, wystraszony i te groźne postacie zbliżające się ku niemu... a potem znowu jej mąż z rozwianym włosem, zaiskrzonem okiem i zaciśniętemi pięściami, nieusprawiedliwiony nawet słusznością, bo idący gwałtem wydrzeć to, czego mu dobrowolnie dać nie mogą.

Oh nie, to być nie może, Matka Najświętsza niedopuści tego, ta Częstochowska Panienka, która za biednymi wciąż swego Syna prosi...

Konstantowa uklękła i złożyła ręce. Dzieci spały spokojnie, snać czuwał nad niemi ich aniół stróż śnieżnoskrzydły...

Inny aniół, aniół cichy przeleciał znów nad miastem. Łzy płynące po twarzy strapionej żony zatrzymały się na policzkach jak duże perły... klęczała i czekała, co jej los przyniesie, a usta jej szeptały wyrazy pacierza...

Ktoś zastukał do bramy. Konstantowej żywiej serce zabiło. Kroki na schodach odzywają się coraz głośniejsze, coraz prędsze...

Zadyszani, choć mroźno na dworze, wpadają jej mąż i Józef.

— A cóż to kobieto, dzień już prawie biały, a ty lampę palisz?

Klęcząca budzi się z zadumy...

— Ach to ty! — woła i z krzykiem pada w ramiona męża...

— I nie pytasz się pani, gdziem znalazł Konstantego, wtrąca w tej chwili Józef.

— Na co ona będzie pytać, ma go już przy sobie, to dosyć, — ale Józef nie da jej odetchnąć.

— Wie pani, mamy robotę i mąż pani i ja i nasz majster! On właśnie namówił Kostka, żeby z nim obejrzał, co potrzeba będzie zabrać ze sobą... bo zaraz dzisiaj jedziemy rozbierać ołtarze a potem do lata samego będzie chleba po uszy. Wracając, spóźnili się właśnie na kolej i przez to dopiero rano przyjechali do Warszawy.

A więc to dla tego, myśli Konstantowa i oczy jej zwracają się z dziękczynieniem na obraz Matki Bożej...

— Tak, tak żono, będzie chleba po uszy dla ciebie i dla dzieciaków.

— A Stachurek właśnie mówił, że mu przyniesiesz z masłem chleb.

— A to urwis, jakby przeczuł, że nam będzie lepiej...

I zaśmiali się wszyscy śmiechem szczerym, głośnym... którego dawno nie słyszały ściany izdebki.

Ten, który śmiech ów wywołał przebudził się...

— Tatuś! — zawołał, jednocześnie

przecierając oczki i wyciągając rączki ku wszystkim. — Tatuś przyszedł od roboty dla Stasia na chleb! — a w sercu wszystkich odbił się ostatni wyraz dziecka promiennem echem nadziei, zamienionej w pewność.

Tak jest, oni już dziś i jutro nie będą łaknęli chleba...

KRAWIEC JÓZEF CURZYDŁO,

DOBRODZIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Starzy Krakowianie pamiętają dobrze warsztat krawiecki Anteckiego przy Grodzkiej ulicy. W ostatnich latach Rzeczypospolitej krakowskiej terminował u Anteckiego młody chłopak, z Andrychowa rodem, Józef Curzydło. Antecki pochodził sam z Andrychowa, lubił Józka i miał na niego baczne oko. Po śmierci Anteckiego Józek pozostał w warsztacie, który wdowa dalej prowadziła i 21-go Września 1847 roku wyzwolił się na czeladnika.

Kończył wówczas 19 rok życia. Czeladnikiem zastał go rok 1848. Józek zaciągnął się w Krzysztoforach do wolnych strzelców, musztrował się na Błoniach. Napróżno przybył stary ojciec z Andrychowa, aby go z tej niebezpiecznej ruchawki zabrać do domu. Przyszło bombardowanie Krakowa, Józek cudem prawie uszedł śmierci; ukrył się u rodziców, do Krakowa nie było po co wracać. W rok później, kiedy Moskale przechodzili do Węgier, znów śmierć zajrzała w oczy. Gorący chłopiec rad mięszał się do wszystkiego. Posądzono go o szpiegostwo niesłusznie; dostał się w ręce austryackiego wojska i miał być rozstrzelany. Wyprosiła go stara matka, ale już po tych doświadczeniach uparli się rodzice, żeby poszedł »na wędrówkę« w dalekie strony. Dnia 20-go lutego 1850 r. dostał »wanderbuch« z magistratu andrychowskiego i podążył do Wiednia. Na pożegnanie upominała go matka, żeby w obcych stronach nie zapomniał po polsku; »nie będziesz miał swoich, to sam ze sobą gadaj.«

Józef Curzydło udał się do Wiednia. Tu znalazł się przynajmniej między swoimi, bo dostał miejsce u krawca Przybylskiego. Długi czas ciężko mu było na obczyznie: przez cały tydzień liczył dnie do niedzieli, bo w niedzielę schodził się z Polakami i razem śpiewali polskie pieśni.

Raz odezwał się do jakiegoś pana, Polaka: »Proszę pana, bo Niemcy powiadają, że to polska szlachta Polskę zgubiła«. — »Nie słuchaj tego, czytaj Pana Tadeusza, to będziesz wiedział, co jest polska szlachta. Ale od Niemców ucz się czego innego, ucz się pracować i pracuj tak, jak Niemcy.«

Curzydło wziął sobie do serca te słowa. Pilnością i dokładnością roboty szedł dalej w zawody z Niemcami i dobił się wkrótce tego, że za lat parę był już przykrawaczem w jednym z pierwszych wiedeńskich zakładów.

Myślał o tem, żeby własny warsztat otworzyć. Było to w roku 1860. Wtedy powołano go do Berna na prowizora większego warsztatu, z którym wdowa, po śmierci męża, nie mogła sobie dać rady. Curzydło własną pracą i zapobiegliwością znacznie rozwinął zakład i od roku 1863 przyjął go na siebie. Niemcy i Czesi zbudowani byli pracowitością Polaka. Wkrótce doprowadził do tego, że miał 30 ludzi zatrudnionych w warsztacie, a nie dozwolał sobie tego zbytku, żeby trzymać przykrawacza; sam pracował od świtu do późnej nocy ale też dobrocią roboty zjednywał sobie coraz większą i lepszą klientelę. O blichtr zewnętrzny nie dbał, sklepu nawet sobie nie urządził, mimo to od arcyksiążąt rezydujących w Bernie począwszy, najlepsza klientela garnęła się do niego. I miał to zadowolenie, że jeden z arcyksiążąt raz go zapytał:

— Was sind Sie eigentlich für ein Landsmann?

— Ein Pole bin ich, Kaiserliche Hoheit odpowiedział z chlubą, że Polak na obczyźnie miał poszanowanie u ludzi.

Sobie samemu wszystkiego odmawiał. Ciągnęli go znajomi na piwo, — on wolał grosz odłożyć. Z razu ciężko było odkładać, bo biedna rodzina potrzebowała pomocy w Andrychowie. Przygarnął młodszych braci, łożył na ich naukę. Ale niezmordowana praca pokonywała wszelkie trudności.

Przy pracy i oszczędności coraz więcej można było odkładać. Z czasem zebrało się tyle, że pan Curzydło mógł starej matce wybudować ładny dom w Andrychowie, później jednemu bratu dał znaczny fundusz na założenie fabryki sukna; drugiemu urządził warsztat kuśnierski; trzeciemu wreszcie po paru latach oddał swój warsztat krawiecki. Sam dla siebie zawsze mało potrzebował; ożenił się, ale nie miał dzieci, tylko biedną dziewczynkę jakąś przygarnął, a podchowawszy w domu, oddał na naukę do klasztoru.



JÓZEF CURZYDŁO.

W Wiedniu polskiego towarzystwa nie brakło. W Bernie trzeba było, jak matka przykazywała »samemu z sobą mówić,« ażeby nie zapomnieć po polsku. Ale chociaż nie słychać dźwięku polskiej mowy, myśl zawsze biegła do Polski.

Wśród ciągłej pracy, przykuty do warsztatu, jednego zbytku pozwolił sobie pan Curzydło: w r. 1879 podążył do Krakowa na jubileusz i przywiózł ztamtąd olejny obraz Kraszewskiego, który na ścianach skromnego mieszkania zajął miejsce obok obrazów Matejki i Kossaka. Smutno było bez dźwięku polskiej mowy, przynajmniej oko cieszyło się widokiem polskich rzeczy. Ich widok dodawał bodźca do pracy, bo grosz się zbierał, a gdy rodzina była zaopatrzoną, przyszła pora pomyśleć o czemś takiem, coby narodowi polskiemu przyniosła pożytek.

Niezadługo cieszył się pan Curzydło obrazami, które w roku 1879 przywiózł sobie z Krakowa; w pięć lat później ociemniał, musiał zwinąć warsztat krawiecki. Odtąd w myśli tylko obliczał, ile zebrał, z niczego, własną pracą, bez niczyjej pomocy, pomimo licznych ofiar, jakie poniósł i dla rodziny i dla pobratymców Czechów. Za to po raz pierwszy w życiu był czas rozmyślać całemi dniami, coby to można zrobić dla sprawy publicznej, dla sprawy swojego narodu tym uzbieranym groszem.

Liczne mu czytywano gazety, niemieckie rozumie się bo nie było nikogo, ktoby czytał po polsku. Tak więc razu pewnego, pan Curzydło dowiedział się z gazet, że w Krakowie istnieje Akademia Umiejętności, że wydaje wiele dzieł polskich, które podnoszą w Polsce naukę, a za granicą imieniu polskiemu przysparzają chluby; że Akademia mogłaby więcej czynić, bo i sił jest dosyć i materyałów nazbierano sporo, szczególnie historycznych, ale niema dosyć funduszów, żeby to wszystko wydawać.

Rozjaśniło się oblicze ciemnego, schorzałego starca: Wiem teraz pomyślał, co zrobić z uzbieranym groszem.

Za pośrednictwem dyrektora muzeum w Bernie, poprosił Akademii Krakowskiej, ażeby przysłała kogo do niego. Sekretarz Akademii, prof. Smolka udał się przeto do łoża chorego.

Pokazało się, że Curzydło nie myśli o zapisie. »Lepiej, — mówił — żeby ten fundusz był w waszych rękach, wy mi tylko procenta płaćcie do śmierci, ażebym miał z czego żyć!« Co do warunków fundacyi łatwo było się porozumieć. Akademia — sądził Curzydło — będzie najlepiej wiedziała, jak używać tego funduszu; on życzył sobie tylko, żeby procenta obracać na »polską historyę,« a korzystając z obecności delegata Akademii, prosił go o wyjaśnienie niektórych szczegółów o królu Jagielle. Jednę jeszcze miał troskę: żeby ten grosz, ciężko zapracowany, przy jakiej zmianie stosunków nie dostał się w jakie obce ręce. Dlatego w akcie fundacyjnym, który notaryusz sporządził, włożono zastrzeżenie, że fundusz Curzydły, jeźliby Akademia przestała istnieć lub straciła polski charakter, ma przejść na własność gminy miasta Krakowa.

Taki był żywot poczciwego człowieka, którego imię Akademia wpisała w poczet swych dobroczyńców. Czterdzieści tysięcy złotych reńskich złożono w Akademii jako fundusz Józefa Curzydły, mający służyć do popierania badań w przedmiocie polskiej historyi. Tyle zostało po sowitem zaopatrzeniu najbliższych.

W sześć tygodni po tym zapisie, w Maju 1891, zamknął na zawsze powieki wspaniałomyślny dobrodziej. Cześć jego pamięci w całym narodzie polskim!

Huczy woda po kamieniach.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie —
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć nie zdolny,
Ten się szumem słowa pieści —
Potok głośny, a swawolny,
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje —
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

Adam Asnyk.

NIECO O LODZIE.

Woda oziębiana aż do 4 stopni Celzyusza, zmniejsza swoją objętość, jak inne ciała. Jeśli jednak oziębi się niżej tych stopni, natenczas następuje znowu powiększenie jej objętości aż do skrzepnięcia w lód. Gdy nastanie chłodna pora roku, wtedy oziębia się (n. p. w jeziorze) wierzchni pokład wody i stawszy się cięższym, opada na dół, podczas gdy woda cieplejsza wypływa z głębi do góry. Tu ostygnąwszy znowu, wraca na dół. Ten ruch tak długo się powtarza, dopóki wszystka woda nie oziębi się aż do 4 stopni Celzyusza.

Co potem? Jeżeli woda jeszcze dalej się będzie oziębiała, to wierzchni pokład jej stanie się lżejszym i pozostaje na powierzchni. Woda zaś spodnia ochroniona jest od dalszego stygnięcia. Ostatecznie zaś powierzchnia wody ścina się w lód, nieraz dość gruby, lecz w głębi kilku stóp pozostaje temperatura

wody na 4 stopniach Celzyusza. Gdyby nie to, cała masa wody zamieniłaby się w lód, coby koniecznie sprowadziło śmierć wszystkich żyjątek w wodzie.

Jak woda, gdy marznie, się rozszerza, przekonać się można codziennie w zimie. To rozsadzi wanienkę, to beczułkę, to inne naczynie drewniane, skoro się w niem w lód zamieniła. W r. 1667 rozłupił pewien człowiek za pomocą marznącej wody żelazną armatę. Nawet kamienie i skały zdoła woda marznąca rozsadzić. Osiada ona najprzód w wąziutkich, jak włos, żyłkach kamieni; gdy zmarznie, rozszerza takowe. W rozszerzonej szczelinie zmieści się wtedy już więcej wody, która znów zamarznąwszy, szczelinę powiększa. I tak zwolna robią się wielkie szczerby w kamieniach i skałach, aż nakoniec lód je rozsadzi i połupi.

Czysty lód nie ma koloru, w wielkich masach wygląda niebieskawo lub zielonawo i przezroczyście. Promienie słoneczne przenikają go na wskroś. Można się o tem przekonać, gdy jakie ciała ciemne w czystym lodzie się znajdują. Słońce je tak rozgrzeje, że lód dokoła nich się znajdujący stopnieje a gdy woda ma gdzie odpływać, zrobi się mała jama w owem miejscu lodu.

Lód może się stać tak twardym, że gdy go rąbią, iskry padają. W r. 1740 strzelano w Rosyi z armat lodowych, ładując w każdą z nich 115 gramów prochu.

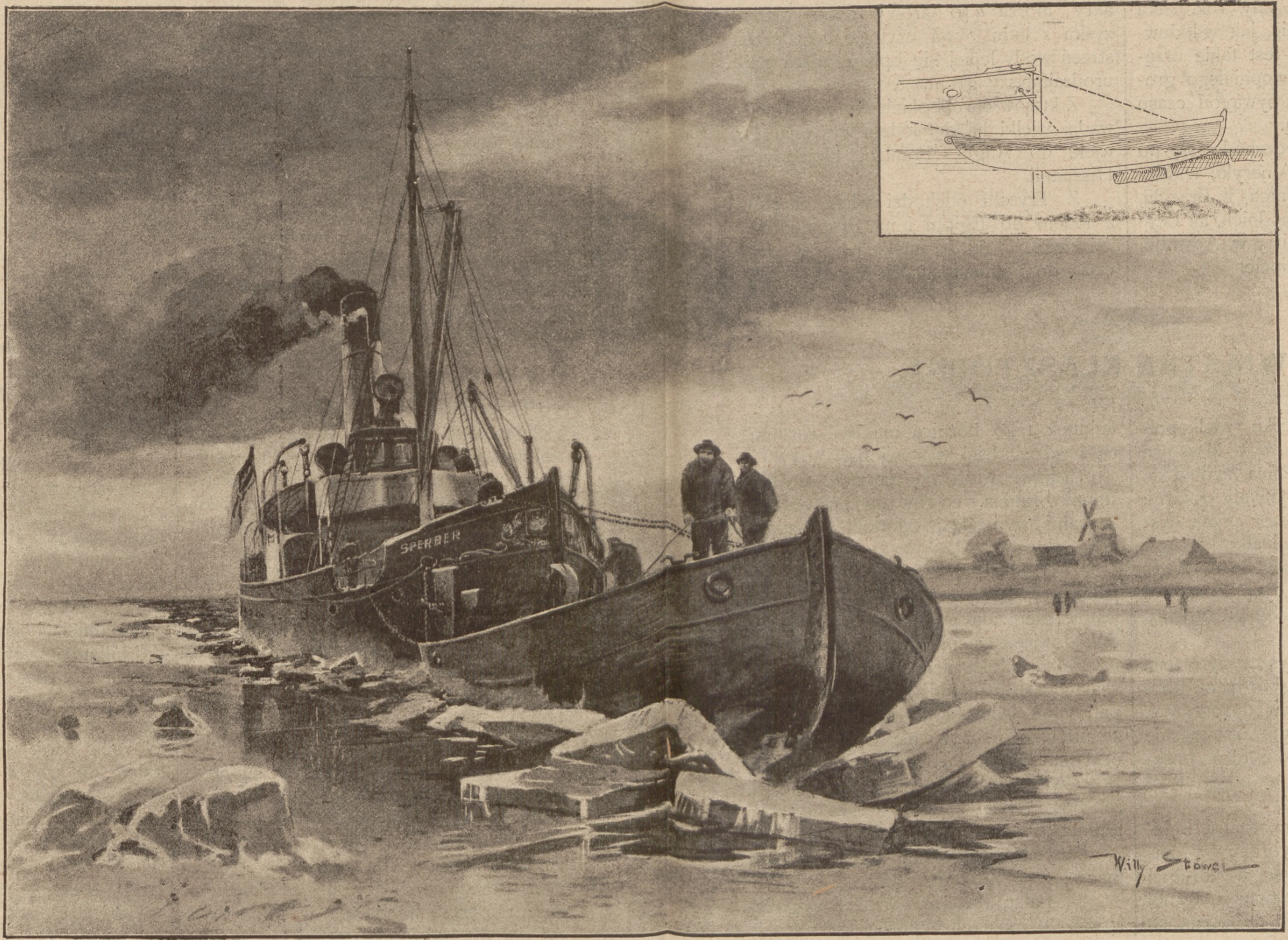
Woda w morzu trudniej zamarza, aniżeli w rzekach, jeziorach lub stawach. Potrzeba też większego oziębienia, zanim się w lód zetnie. Zazwyczaj tworzy się najprzód masa lodowa podobna do tej, jaka powstaje, gdy woda ze śniegiem się zmięsza. Albo też w głębokości od pół do półtrzecia metra tworzą się małe cienkie, nieomal okrągłe tabliczki ludowe, które w niezliczonej ilości na powierzchnię wypłynąwszy, łączą się w jednę pokrywę ludową. W Norwegii pod 65 stopniem północnej szerokości natrafiano na morze aż 60 metrów w głęb zamarzłe.

Lodu używają do różnych rzeczy, mianowicie do zachowywania od zepsucia artykułów spożywczych, do oziębiania napojów, w browarach, destylacyach itd. Stanowi on przeto ważny artykuł handlu. W zimie gromadzą go w wielkich zapasach i przechowują w lodowniach na latową porę. Lodownie takie zbudowane bywają zwykle ku północy wśród gęstych krzewów. Mają podwójne ściany, między któremi znajdują się trociny, prószę torfu, siano, słoma it.d. Główną rzeczą jest, ażeby powietrze nie dochodziło do lodu w lodowni złożonego. W Ameryce północnej budują lodownie w ten sposób, że wznoszą gmachy o podwójnych ścianach z grubych desek. Między jedną a drugą ścianą jest nieraz metr odległości. Tę przestrzeń wypełniają cegiełkami torfu, a szczeliny zasypują trocinami. Podłoga składa się z pokładu przeszło półmetrowego torfu, a dach jest z trzciny lub słomy.

Lekarze używają często lodu mianowicie przy ranach bardzo krwawiących i operacyach. Potłuczony lód wkładają w pęcherzynę i przykładają na bolącą część ciała. Przy zapaleniu mózgu, uderzaniu krwi do głowy i poranieniu żołądka, (gdy kto połknie żelazne przedmioty,) lód jest środkiem pomocniczym.

Handel lodem bardzo się rozwinął od kilkudziesięciu lat. Mianowicie ma on wielkie znaczenie dla Ameryki północnej. Pierwszy zajął się nim Amerykanin z Bostonu, nazwiskiem Tudor. W roku 1805 wysłał okręt naładowany lodem do krajów zamorskich. Gdy mu się poszczęściło, rozszerzał handel coraz więcej a w r. 1833 zaczął lód wywozić stale do Indyi wschodnich. Inni Amerykanie wnet poszli za jego przykładem. Dziś głównemi siedzibami handlu tego są miasta Boston i Nowy Jork.

Handlarze wybierają do wywozu lód zupełnie przezroczysty, oczyszczają go z śniegu i innych nieczystości, używając do tego hebli, zdzierających nieczysty pokład wierzchni lodu i krają na równe kawały osobnym pługiem, umyślnie w tym celu sporządzonym. Gdy się to stało, łamią za pomocą parowców lód



ŁAMANIE LODU.

w kanałach przybrzeżnych (obacz obrazek na str. 120) ażeby otworzyć drogę do spławiania kawałów lodu ku brzegowi. Tu inne maszyny ładują lód do lodowni, nad brzegiem zbudowanych.

Wywóz lodu trwa cały rok. Na okręty ładują go podobnie, jak w lodowniach. Na samym dole jest takie urządzenie, że woda z lodu stopniałego gromadzi się w zbiorniku i bywa od czasu do czasu wypompowaną.

Lód Amerykański rozchodzi się po południowych krajach Ameryki, w Mexico, w Indyach Zachodnich, w Brazylii, a także w Indyach Wschodnich, na Ceylonie, w Chinach, Japonii i w Australii, a nawet w Sycylii i Egipcie.

W roku 1870 tkwiło w nim 40 milionów marek kapitału obrotowego a 18 tysięcy ludzi znajdowało w tym handlu pracę i zarobek. Handlarze obliczają sobie, że w dobrym roku z jednej akry morza (40 arów) 2000 marek zysku z lodu bywa czyli że taka przestrzeń wody lepiej się opłaca, niżeli najurodżajniejszy grunt.

Z krajów europejskich Norwegia prowadzi wielki handel lodem wysyłając go wiele do Anglii, Francyi, Holandyi i Hiszpanii.

Z Tryestu odchodzi wiele okrętów z lodem do Egiptu i na wyspy morza jońskiego. Lód bawarskich jeziór przywożą do północnych Niemiec.

OPOWIASTKA KLASZTORNA.

W pewnem miasteczku wielkopolskiem stała przed laty obok klasztoru ojców Bernardynów bóżnica żydowska. Że zaś z tego ciągłe wynikały zatargi, postanowiono nareszcie spór przez dysputę (rozprawę) załatwić, i albo klasztor, albo bóżnicę znieść, stósownie do tego, kto kogo przegada. Na dysputę takową przeznaczono z jednej strony gwardyana, a z drugiej rabina.

Sługa klasztorny, usłyszawszy o tem, sądził, żeby to powadze gwardyana ubliżało, gdyby miał z żydem dysputować. Prosił zatem, żeby jemu załatwienie sprawy tej w imieniu klasztoru poruczono, ale żeby rozprawa na migi odbyć się mogła.

W dniu wyznaczonym, stawa z jednej strony sługa, przybrany w habit, jakby istotny gwardyan, a z drugiej rabin. Zaczyna się dysputa. Rabin podnosi najprzód palec do góry, na co sługa palec ku ziemi zwraca i przytupuje. Rabin powtóre wskazuje ku niemu jednym palcem, a sługa dwoma, nareszcie rabin ukazuje rękę roztwartą, a sługa pięścią na to odpowiada. Tu rabin wyznaje, że został przedysputowany, a wskutek tego bóżnica ma być rozebraną i gdzieindziej wystawioną.

Ciekawi widzowie zapytali się następnie rabina, co by on powyższemi znakami wyrażał, i odebrali od niego taką odpowiedź:

— Pokazałem księdzu gwardyanowi palcem w górę wzniesionym, że Bóg jest w niebie; a on spuściwszy palec na dół, dowiódł, że nietylko w niebie, ale i na ziemi. Pokazałem mu dalej, wystawiając palec naprzód, że oko opatrzności patrzy na świat; a on odrzekł znakiem, że nietylko jednem, ale dwoma patrzy oczyma. Ręka roztwarta oznaczała, że Bóg świat na dłoni trzyma; a ściśniona, że Bóg świat mocno w swem ręku trzyma.

Zapytany nawzajem sługa, całkiem inaczej rzecz tę tłumaczył:

— Palec do góry wzniesiony okazywał, że mnie chce powiesić; na co ja mu dałem do zrozumienia, że go pierw w ziemię wbiję. Dalej chciał mi palcem oko wyżgać; a ja mu odgroziłem utratą obydwóch. Nakoniec chciał mi ręką policzek dać, a jam mu na to całą odgroził pięścią.

CHŁOP I BŁAZEN.

Jeden Rzymianin bogaty
Sławne igrzysko był sprawił:
Hojne oświadczył dukaty,
Ktoby lud lepiej zabawił.

Zbiegną się wszyscy kuglarze razem
Między któremi i Błazen,
Błazen arcydoskonały.
Ciekawość wzbudzi Rzym cały
Błazen, Błazen, daj go katu!
Coś nowego wyda światu.
Jak tylko stanął na scenie,
Powszechnie sprawił milczenie.

Tu między poły łeb sobie zawrócił,
I kwiknął, wszystkim zdało się,
Żywe pod połą ma prosię!
Ale gdy z siebie płaszcz zrzucił:
Brawo! klasnęli: brawo przedziwnie!
Chłop sobie jeden głową na to kiwnie:
»I taż to sztuka tak znakomita,
»Za którą błazen dukaty chwyta?
»Rzym cały klaszcze i krzyczy,
»Że mu się kwiknąć raz uda?
»I my potrafim też cuda.
»Niewiem kto lepiej zakwiczy.

Tu z miną na plac wystąpi wesołą,
Udając jakby miał prosię;
(A właśnie miał je pod połą)
Szturchnie je palcem po nosie.
Kwiknęło prosię.
Zagwizdnie tłuszcza pierwszemu przyjazna:
Ani się umył gbur prosty do Błazna!
Aż on prosięcia z pod sukni wywlecze.
Błąd im stawiąc przed oczami:
»Otoż dowodzi to, rzecze,
»Jakiemi wyście sędziami!

F. D. Kniaźnin.

MUZYCZNE NARZĘDZIA.

Między rzeczami z przeszłości polskiej godzi się też wymienić narzędzia, na których grywali dawni Polacy w smutku i wesołości, w świątyniach Pańskich lub obozach, idąc na boje z poganami. Przytoczymy tu naprzód wesołą kolędę ludową z wieku 17, w której wspomnianych jest wiele narzędzi muzycznych, na jakich w owe czasy grywano:

Anieli się w niebie cieszą
Pasterze do szopy spieszą, hej nam, hej!
Opuścili swe bydlęta
A pobrali instrumenta, hej nam, hej!
Do Betlejem gdy przybiegli,
Szopę z wszystkich stron oblegli, hej nam, hej!
Poustawiali się w szyki
I wzięli się do muzyki, hej nam, hej!
Stach najpierwszy na swym *Rogu*
Rozpoczął rżnąć chwalę Bogu, hej nam, hej!
Wach na *Lirze*, rzeźko gmyrze,
Jacek Krupa, w *Drumlę* chrupa, hej nam, hej!
Janusz bzdurzy na *Bandurze*
Sobek sobie w *Kobzę* skrobie, hej nam, hej!
Wojtek ryczy na *Basicy*.
Knapik wali na *Regali*, hej nam, hej!
Wawrzko chełce na *Surmeczce*,
Kuba Łyczek, złamał *smyczek*, hej nam, hej!
Stasiek z Dębni w *Kotły* bębni,
Fabijanek trąbi w *dzbanek*, hej nam, hej!
Kurantów z konwi dobywa,
Temu, owemu nalewa, hej nam, hej!
Tomek doi na *Oboi*,
Kopet kraje w *Szałamaje* hej nam, hej!
Filip plecie na *Kornecie*,
Kryś bełkoce na *Fagocie*, hej nam, hej!
Arfy z sobą nie przynieśli,
Naprawić ją dali cieśli, hej nam, hej!
Z *Tub-maryną* Bartek prostak,
Idąc przez wieś, w karczmie został, hej nam, hej!

Jan Łodzia, biskup poznański (zmarły r. 1346), który wiele pieśni kościelnych, dotąd śpiewanych w Polsce ułożył, nie znał chwil szczęśliwszych nad owe »gdy sobie doma (jak mówi dziejopis) gwoli wesołości na cytarze przygrywał«. Arcybiskup gnieźnieński Mikołaj, oprócz cytary rozkoszował się w »luteń, trąb, piszczałek i reszty gędzielnych narzędzi chórze«. Widzimy z tego i z innych wzmianek Długosza o muzyce dobranej, że kapele były już w dobie piastowskiej znane w Polsce. Aldona, żona Kazimierza W., Litwinka (zmarła r. 1339), lubiła się otaczać chórem śpiewaków i grających na bandurach, cytarach i lirach, co — jak słusznie wnosić można — dowodzi istnienia kapeli królewskiej. Wogóle widać Litwinki rozmiłowane były w muzyce, bo Aleksandra Olgierdówna, siostra rodzona Jagiełły, poślubiona Ziemowitowi, księciu Mazowieckiemu, przyjeżdżając do Krakowa na dwór brata, woziła z sobą flecistów nadwornych. Zwierzchnikiem kapeli na dworze Jagiełły był Jan Śledź,

herbu Doliwa, później biskup przemyski, zmarły r. 1411. Byli w niej i żydzi. Widzimy w r. 1440, że kapela króla Władysława Warneńczyka wyjęta jest z pod sądu miejskiego a należy do starościńskiego. Jan Tarnowski, wojewoda krakowski, ma także muzyków nadwornych. Wnukom Jagiełły, Aleksandrowi i Zygmuntowi, przygrywa nadworny lutnista Czuryłko. Opaci dla rozrywki grywali czasem wesołe piosnki na organach. Głos kobzy ceniono w Polsce na równi z dźwiękami cytry hiszpańskiej. Huczne tony wydobywano nie tylko z kobzy (z »koziego rogu, z kozła«), ale także z trąb i bębnów. Rej wyraża się, że »wrzeszczał kozi róg za uchem, tłuczono w bęben by w pudło, aż we łbie trzeszczało«. Krzykliwe były kornety i fujary, głośne sztorty, szałamaje, pomorty, regał, skrzypice, puzany. Cicha muzyka nazywała się gędźbą, gędzeniem. Należały do niej lutnie, arfy, padwany, szczebiotliwe flety, wykwintne mutety. Bandory używano do skocznych tańców. Nadworna kapela Stanisława Lubomirskiego składała się z 27 muzyków i śpiewaków. Lud prosty najlepiej lubił skrzypice, dudy i bęben z brzękadłami. Żacy lubili drumlę, pasterze piszczałkę, żydzi cymbałki. Zbylitowski w 17 wieku mówi o pannach, które na kościanych lutniach przygrywały. Zimorowicz w 8-mej sielance wspomina »włoskie skrzypice, serby i cymbały dęte, fujary wystrugane, kornety nagięte«. U mieszczan lwowskich w owych czasach spotykamy często klawikordy, lutnie i pozytywy. Archilutnia był to instrument podobny do lutni, używany w wieku 17. Gandziary używali Cyganie. Surma w rodzaju trąbki, piszczałka turecka, w Polsce upowszechniona, po turecku zwana surna. Grający na surmie zwał się po polsku surmarz, po turecku surnadży. Brzękadełka były to narzędzia do wybijania taktu w kapeli janczarskiej. Bandura, bandurka, rodzaj lutni o strunach mosiężnych z krótką szyją czyli gryfem. Słynęli w Polsce bandurzyści kozaccy, którzy tańcząc i śpiewając przygrywali na bandurce. Teorban był ulubionem narzędziem na dworach szlachty, która utrzymywała stałych teorbanistów, i sama chętnie w chwilach odpoczynku na teorbanach grywała. Teorban był rodzajem gitary w kształcie przekrojonej gruszki, o długim gryfie i 33 strunach. Do grania zawieszał się na taśmie przez ramię a śpiewający przyjmował postawę stojącą i ruchami całej postaci odpowiadał treści i uczuciom, które pieśń jego wyrażała. Polacy upowszechnili teorban na Ukrainie, gdzie znalazł on usposobionych do gry na nim bandurzystów i najdłużej pozostawał w użyciu. Na dworze Rzewuskich i Sanguszków znaną była przez kilka pokoleń w ostatnich czasach rodzina teorbanisty Widorta. W przeszłości spotykamy często wzmianki o dudach, gęśli, klawicymbałach i tołombasach, a komuż nie przypomni się wiersz z »Pana Tadeusza«: »Patrz, stoi cymbalista, skrzypak i kozice«. Niewątpliwie do pierwotnych narzędzi muzycznych w Polsce, lubo nie tanecznych i wesołych, ale pasterskich, myśliwskich i hasłowych, należy wielka trąba drewniana, zwana ligawką, legawką. Ligawka, albo legawka, wielka drewniana trąba, instrument muzyczny wiejski, pod gołem niebem tylko używany, może najstarszy z narzędzi muzycznych w Polsce. Ligawka długa na kilka stóp, czasem prosta, częściej nieco łukowata, w szerszym końcu kilka cali średnicy mająca, w węższym do ust przeznaczonym zakończona krótkim lejkiem. Głos jej przenikliwy, podobny nieco do tonu oboja, lubo ostrzejszy i znacznie silniejszy. Nazwa ligawki, pochodzi od legania, czyli opierania jej (zwykle na płocie) podczas trąbienia, właściwa bowiem ligawka 2 do 3 łokci długa, jest zbyt ciężką, aby grać można było na niej swobodnie bez oparcia. Ztąd nazwa ta nie stósowała się do małych trąbek pastuszych. Kluk w swojem dziele o roślinach, w 17 w., powiada, że »ligawki pastuchów bywają osowe i wierzbowe«. Na Mazowszu i Podlasiu w każdej wsi miewano po kilka ligawek i dotąd jeszcze niektórzy

mają. W lasach nawoływano niemi bydło a przy domu grano codziennie przez cały adwent, dobywając uroczyste tony g, c, e, g, c, a, g, c, itp., dla przypomnienia sądu ostatecznego, do którego pobudkę zatrąbi światu archanioł. W zwyczaju tym poetycznym zamiłowany był szczególniej zmarły r. 1838 arcybiskup warszawski Choromański, jakoż gdy był proboszczem w Zambrowie koło Łomży, występowała tam podczas pasterki cała młodzież parafialna, grając na wielkich ligawkach na cmentarzu. Głos ligawki w cichy pogodny wieczór zimowy podczas adwentu, słyszeć można w odległości półmilowej.

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

(Ciąg dalszy.)

Doświadczona niewiasta miała słuszność. Wielka, krwawa jasność biła od miasta. Nawet do cmentarza, na którym się ukryli, sięgała.

— Dokąd się tedy zwrócimy? — zapytała Judyta.

— W góry, dzieci, w góry, — odpowiedziała wdowa, wstając i podejmując swój tłómoczek. W górach chrześcianie zawsze znajdowali najwięcej ochrony. Trzeba nam iść do wsi Djezzin, leżącej w górach pięć godzin na zachód. Tam mieszka dwa tysiące Maronitów. Ci potrafią nas obronić przed nieprzyjacielem, jeśli tylko mają odwagę.

Na ten plan wszyscy się zgodzili. Zanim jednak ruszyli, zapytała wdowa:

— Ali, nie chcecie wrócić teraz do domu ojca? Dosyć uczyniliście dla nas i powinniście teraz myśleć o swojem własnem bezpieczeństwie.

Ali odpowiedział na to:

— Nie wrócę już do domu ojca mego. On by mnie zmuszał, abym brał udział w prześladowaniu chrześcian. Gdybym się wzbraniał to uczynić i powiedział mu, że nie chcę być Turkiem, niechybnie by mnie zabił.

— Dla czego nie chcecie być Turkiem? — zapytała wdowa.

— Ponieważ Turcy nie znają miłosierdzia ani miłości bliźniego dla swoich bliźnich, — odpowiedział Ali z oburzeniem.

— A czem chcecie zostać? — zapytała znowu wdowa.

— Tego jeszcze nie wiem, — odrzekł Ali. Módlcie się, aby mnie Bóg raczył oświecić.

— To uczynimy, a teraz dalej naprzód!

Przeszedłszy tedy przez mur cmentarza, udali się wszyscy czworo w dalszą drogę, która ich zrazu wiodła między urodzajnymi ogrodami. Judyta oglądała się co chwilę, ciekawa, czy łuna nad miastem wzrasta. Maron, który mimo lekkiej rany na głowie, odzyskał swobodę umysłu, widząc to, zawołał wesoło:

— Ej Judyto, nie oglądaj się, bo ci się jeszcze może tak stać, jak żonie Lota; zamienisz się w słup soli.

Judyta zawstydziła się, że była tak ciekawą i szepnęła matce:

— Matko, słyszycie, co Maron mówi; w tem wielkiem niebezpieczeństwie stroi sobie żarty.

— Maron trafnie powiedział, — odrzekła na to wdowa, — albowiem uciekamy we czworo z płonącego miasta, jak Lot.

— A kto jest aniołem prowadzącym nas?

— To Ali, — zawołał Maron, — kładąc rękę na ramieniu przyjaciela. — Lecz prawdziwie, może to i niesłusznie, że w tak wielkiem niebezpieczeństwie żartuję.

— Czemu ma być niesłusznie? — odpowiedziała wdowa, — to jest znakiem dobrego sumienia i ufności do Boga. Słyszałam, że Ojciec św., Pius IX w najcięższej doli nigdy nie tracił wesołego usposobienia.

Potem postępowali przez pewien czas w milczeniu. Wtem odezwał się Maron do Alego:

— Gdy nas zaczepią i zabiją, nie chciałbyś Ali dostać się z nami do nieba?

— Tak jest, — odpowiedział zapytany, — chciałbym do was należeć.

— Natenczas w godzinie niebezpieczeństwa z głębi serca powiedz tak: »O Boże i Ojcze nasz w niebie! Wierzę we wszystko, co ludziom objawiłeś. Wierzę w Chrystusa, twego jednorodzonego Syna. Pokładam ufność w miłosierdziu i żałuję z całego serca za grzechy mego żywota. Przebaczam wszystkim nieprzyjaciołom moim i prześladowcom. Ojcze, racz im także przebaczyć, bo nie wiedzą, co czynią«. Powiesz te słowa?

Ali przyrzekł, lecz prosił, aby mu Maron jeszcze raz słowa powtórzył, a potem sam je kilka razy powiedział po cichu, aż je sobie dobrze spamiętał.

Tymczasem droga coraz się stawała węższą. Szli ciągle pod górę. Cała okolica miała wygląd dziki. Po wzgórzach daleko widać było tu i owdzie osady, lecz pola stały pustką.

Maron ucieszył się z tego i rzekł:

— Jak okiem sięgnąć, nie widać nikogo z Druzów. Zapewnie wszyscy udali się ku Sydonowi nad brzeg morza i pewnie nam się uda bez przeszkody dojść do Djezzin.

Wdowa potrząsnęła na to głową i rzekła:

— Nie, mój synu, tak nie jest. Wszystkie wsie, tu w około, które widzisz, zamieszkują Druzowie i Metualowie. I to nie jest dobrym znakiem, że nikogo na polu nie widać. Obawiam się, że zgromadzili się w jednem miejscu i chcą napaść na wieś Maronitów. Może zgoła na Djezzin wyprawę szykują.

Zaledwie wdowa te słowa wypowiedziała, gdy z daleka usłyszano strzały, które echo powtórzyło. Przestraszeni spojrzeli po sobie zbiegowie i pobiegli na wysoką skałę, zkąd aż do Djezzina dojrzeć było można. Zobaczyli tam, jak gromada ludzi w wielkim popłochu ze wsi uciekała, podczas gdy ze wzgórz i krzaków Druzowie na uciekających strzelali.

— O niebaczni, — zawołała wdowa, — dla czego opuszczają wieś i swoje domy, gdzie bezpieczni i zakryci mogli się dłużej bronić przemocy. W otwartem polu są zgubieni.

Słowa wdowy były słuszne, bo w godzinę potem nadeszło drogą, biegnącą u stóp góry, na której nasi znajomi stali, gromada z 2000 ludzi się składająca. Były tam dzieci, kobiety, mężczyzni, starzy i młodzi. Około 300 uzbrojonych mężów postępowało na końcu pochodu, zasłaniajac swoich najdroższych.

Lecz Druzowie nękali ich ciągle, i ukryci w przydróżnych zagajeniach strzelali do biednych, z których wielu padało. Kto nie zginął od kuli, tego dobijali nieprzyjaciele nożami. Maron widząc to, zaciskał pięści, wołając: O Panie, spuść deszcz ognisty na tych oprawców.

Lecz wdowa przerwała mu i rzekła:

— Myślmy lepiej o tem, jakby braci naszych ratować.

— Jakże możemy im dopomódz, — zapytał Ali, — gdy nie mamy broni?

Wdowa odpowiedziała żywo:

— Jeżeli uciekający dalej będą uciekali tą drogą do Sydonu, to wszyscy, którzy tamdotąd dojdą, zginą okropną śmiercią. Maronie i Ali! Biegnijcie co tchu krzakami w dolinę i wprowadźcie tych nieszczęśliwych tu do góry. Mężowie niech chronią wejścia do wąwozu, jak długo będą mogli.

— Idę, matko! — odpowiedział Maron i obaj z Alim udali się w wskazanym kierunku. Wdowa uczyniła za nimi znak krzyża świętego.

Obaj młodzieńcy zdołali zabiedz drogę uciekającym chrześcianom, którzy

szli, śpiewając i modląc się drogą. Przestrzegli ich o niebezpieczeństwie i nakłonili, ażeby opuścili dotychczasową drogę, a weszli wązkim wąwozem na górę. Zrazu gromada nie dowierzała, lecz skoro usłyszała, co się dzieje w Sydonie, usłuchali rady. Młodzi i silniejsi wzięli dzieci na ręce, inni podpierali słabe kobiety i tak wdzierali się pod górę. Zbrojni mężowie zakrywali swoich, broniąc wejścia wąwozu. Druzom teraz trudniej było chrześcian kulami dosięgnąć; owszem niejeden z nich padł od kuli chrześciańskiej.

Po dwugodzinnej walce dostali się chrześcianie pod wierzchołek góry, gdzie stał dość gęsty bór stanowiący pewne zakrycie przed nieprzyjacielem. Niektórzy chcieli się zaraz schronić w gąszcz, lecz wdowa odradziła im tego, natomiast taki plan obrony podała: Do lasu wejść nie możemy, gdyżby nas nieprzyjaciel mógł otoczyć i drogę do dalszej ucieczki odciąć. Natomiast trzeba jak najdzielniej bronić wąwozu przed Druzami, którzy z pewnością zaprzestaną walki, skoro zobaczą, że kto tylko będzie próbował dostać się do nas, znajdzie śmierć.

Lecz mężowie chrześciańscy zniechęceni stratami, jakie ponieśli, i słysząc przy tem płacz i narzekanie swoich żon i dzieci nie usłuchali dobrej rady wdowy. Nie bronili się przeto dalej, lecz szukali wyjścia. Wdowa powiedziała im, że to się stanie ich zgubą.

— Czemuście opuścili wieś waszą? Gdybyście się w niej byli mężnie bronili, nie byliby Druzowie was mogli wypędzić i tylu wymordować. Czyż nie wiecie, że Druzowie podobni są do szatana? Gdy kto przed nim ucieka, staje się dzikszym i okrutniejszym; kto zaś się mężnie przeciwko niemu stawi, przed tym ucieka. Brońcie się teraz z tej góry! Strzelajcie z poza każdego drzewa i każdej skały na nieprzyjaciół. Celujcie dobrze i strzelajcie spokojnie, aby każda kula trafiła. Wtedy Druzowie zapewnie nie odważą się do nas wejść.

Te słowa mężnej niewiasty nie pozostały bez skutku. Jeden z Maronitów, starzec doświadczony odezwał się do braci w te słowa:

— Ma słuszność! Pozwoliliśmy się podejść Druzom, którzy przyrzekli, że nas nie będą prześladowali, gdy im nasze domy splądrować pozwolimy. Uczyńmy tak, jak nam ta mądra kobieta radzi. Rozstawcie się na całej górze, przypuśćcie nieprzyjaciół blisko i strzelajcie pewno.

Mężowie chcieli tak postąpić, jak im wdowa i starzec radzili, lecz nagle usłyszeli wielki płacz i krzyk kobiet i dzieci. Zobaczyły one, jak Druzowie podpalili wieś Djezzin, którą właśnie byli opuścili. I serca mężów ścisnęła boleść na widok płonącej ojcowizny i stali bezradni, jakby znieczuleni.

Tymczasem Druzowie korzystali z tego i podsunęli się blisko zbiegów. Teraz właśnie dali kilka razy ognia do nich, a kilku chrześcian padło z jękiem na ziemię.

Niezmierny strach ogarnął innych. Wszyscy: mężowie, kobiety i dzieci rzucili się w bezładnej ucieczce do gęstego lasu, jeszcze wyżej położonego. Tam przybywszy, padli zmęczeni na ziemię, pełni rozpaczy, bo stracili już nadzieję ratunku.

Na chwilę zapanowała cisza: Druzowie naradzali się, jakby chrześcian z gęstwiny wypędzić.

Wdowa zaś przeczuwając, co uczynią, wysłała Marona i Alego w las:

— Biegnijcie czemprędzej na drugi koniec lasu i przekonajcie się, czy tam gdzie nie ma wyjścia.

Po ich odejściu wdowa doradziła, ażeby się posunąć więcej ku środkowi lasu, co też pewna część chrześcian uczyniła. Tam usiedli i pożywili się chlebem, winem i figami, które z domu zabrali. Bardzo im się to pożywienie przydało, bo niektórzy byli tak słabi, że już dalej iść nie mogli.

Wtem od brzegu lasu doleciał okrzyk przeraźliwy: »Gore, gore! Druzowie podpalili las!«

Najprzód zapalili suche trawy wokoło lasu, lecz nie ulegało wątpliwości, że las za chwilę zapłonie. Co począć?

Wielka rozpacz ogarnęła chrześcian. Niektórzy rzucali się w ogień i wybrnęli z niego, lecz niestety życia nie uratowali, bo poza lasem czatował na nich nieprzyjaciel i mordował bez litości. Inni znów, jak błędni uciekali w las bez pamięci, inni wchodzili na drzewa, jakoby wierzyli, że to ich przed śmiercią uchroni. Cały las brzmiał okropnem echem jęków rozpaczy straszliwych, do głębi duszę przejmujących.

Wdowa z Judytą i towarzyszącemi im ludźmi padły na kolana i zaczęły się modlić. Tylko Boska pomoc mogła ich z tego gorejącego pieca wyprowadzić.

Wtem nadbiegli Maron i Ali w szalonym pędzie zziajani, strwożeni.

— Z trzech stron jest las otoczony przez Druzów. Z czwartej Druzów nie ma, lecz skała stroma, po której niepodobieństwem jest na dół się spuścić.

Wdowa jednak usłyszawszy to, zawołała do otaczających:

— Chodźcie, chodźcie! Uratujemy was!

Sama wzięła dwoje dzieci na rękę i udała się ku owej skale. Maron wskazywał drogę. Czemprędzej powiązano chusty, szale, płaszcze i przepaski i na tej linie spuszczali się na dół wszyscy, którzy za głosem wdowy poszli.

Pierwsi, którzy się spuścili, wołali do góry: »Tu jest jama, w której się można schronić!«

To dodawało innym odwagi i prawie sto osób wyratowało się w ten sposób od śmierci. Nakoniec pozostał tylko Maron z Alim u góry. Maron nastawał, aby i Ali się spuścił, co tenże uczynił. Potem odwiązał Maron linę od drzewa, do którego była przywiązana, obwinął ją, nie wiążąc, około drzewa i uchwyciwszy oba końce, zaczął się sam spuszczać. Spuściwszy się do obu końcy, puścił jeden; skutkiem tego sznur się odwijał, jak na kołowrocie, ciągniony w dół przez Marona. Ostatecznie skoczył, pociągając sznur za sobą i szczęśliwie stanął na ziemię. Wszyscy schronili się do ciemnej jamy w skałach i tam dziękowali Bogu za ocalenie. Nad nimi zaś płonął las coraz szerzej, luna olbrzymia oświecała całą okolicę, a w tej pożodze ginęli chrześcianie, składając świadectwo swej wierności dla wiary Chrystusowej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



1. Prawie pół godziny już męczę się a męczę i nie mogę otworzyć tego pudełka, w którem się jaja znajdują.



2. Aha! zdaje mi się, że dostanę wielkiego ka — ka — kataru!



3. Apsik!



4. Pudełko już otwarte!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 25-go Lutego 1897. Nr. 8.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

BIAŁA LILIA.

LEGENDA.

Rosła raz na ustroniu śliczna biała lilia. Leciuchny wietrzyk poruszał wysmukłą jej łodygą, jasne promienie słońca pieściły kielich jej śnieżysty; przejrzyste kropelki rosy orzeźwiały kształtną jej koronę, z każdym dniem wzrastała w piękność i siłę, a w niewinności serca cieszyła się, że posiada tak wdzięczną postawę. Nagle jednak wszystko się zmieniło. Lilia smutnie pochyliła śliczną swoję główkę, gdyż myśl bolesna rozdzierała jej serce. Ubolewała nad bezużytecznem swojem życiem i nad tem, że nawet Stwórcy swojemu nie umie okazać wdzięczności za otrzymane od Niego dary.

Myśli te w niej rozbudził ptaszek, który tego dnia rano usiadł na gałązce drzewa, w pobliżu rosnącego i tak słodkiem i wdzięcznem pieniem napełniał powietrze, że biedna lilia drżała ze wzruszenia, a z wonnego jej kielicha rzęsisty krople rosy spadały na ziemię. Ptaszek głosił wszechmocność, chwałę i dobroć Stwórcy, a następnie śpiewał, że wszystkie stworzenia powinny Go kochać, wielbić i dziękować Mu za dobrodziejstwa, które im tak hojną wydziela ręką.

Ptaszek uleciał, skończywszy swój hymn pochwalny, lecz od tej chwili sercem białej lilii miotało bolesne, nieznane jej dotąd uczucie. Ah! bo i ona zapragnęła wygłosić swą wdzięczność i miłość ku Stwórcy. Jakże zazdrościła ptaszkowi jego głosu! Zrzekłaby się chętnie swej piękności, gdyby choć raz pieśń jej dziękczynna mogła zabrzmieć w powietrzu i wznieść się ku niebu. Choćby zresztą dostał się jej w udziale głos świerszcza odzywającego się w dali, już by i na tem poprzestała. Lecz niestety! mówiła sobie: tak biedny, niemy jak ja kwiatek, na cóż się przydać może?

Opuściła więc główkę i tak gorzko płakała nad swem upośledzeniem, że aż straciła świeżą swą białość i pochyliła się ku ziemi. Słowem zmieniła się do tego stopnia, że wietrzyk, wierny jej przyjaciel, przelatując tamtędy wieczorem, zaledwie poznać ją zdołał.

Kiedy biedny kwiatek wyznał mu przyczynę swej boleści, wietrzyk odezwał się w te słowa:

— Któż ci powiedział, że nie masz sposobu okazania swej wdzięczności i miłości dla Stwórcy? Czego on żąda dla siebie, jeśli nie tego, abyś była szczęśliwą i radą z przeznaczonej ci doli, abyś wzrastając w piękność i siłę, rozkoszną swą wonią napełniała powietrze, abyś swą przeczystej białości szatę uchroniła od wszelkiej skazy?

— Bez wątpienia; ale to jeszcze mało — odpowiedziała lilia wzdychając.

— Za mało? Wszak Stwórca wie, że ty więcej uczynić nie możesz; gdyby żądał, aby usta twoje głosiły na cześć Jego dźwięczne pienia, byłby cię obdarzył tak dźwięcznym głosem, jakim obdarował ptaszka. Któżby się odważył utrzymywać, że dla Pana wszech

rzeczy milszym jest śpiew ptaków, niż twa urocza piękność i woń przecudna?

— Więc sądzisz, że ja także mogę podobać się Stwórcy?

— Tak — odpowiedział — gdyż Bóg jest sprawiedliwy; od żadnego ze swych stworzeń nie wymaga więcej nad to, czego mu udzielił, ale także od każdego żąda ścisłego rachunku z darów otrzymanych. Zamiast więc ubolewać nad tem, że nie możesz wykonać tego, czemu siły twe podołać mogą, staraj się odpowiedzieć godnie celowi, do którego zostałaś stworzoną.

— Nie będę już się użalała — rzekła na to lilia; podniosła główkę, wyprostowała białe swe listeczki i czyniła wszystko co mogła, aby się podobać Stwórcy. I Bóg spojrzał na nią łaskawie i wynagrodził jej miłość i pokorę.

Nie długo potem Zbawiciel świata przechodził tamtędy z uczniami swymi i mnogą ludu rzeszą. Ujrzał u nóg swych kwitnącą białą lilię, a znając jej pokorę, czystość i chęć podobania się Bogu, zwrócił się do zgromadzonego ludu i wskazał mu ją za przykład szczodrobliwości, z jaką Opatrzność rozdziela swe dary pomiędzy wszystkie stworzenia.

Słowa Zbawiciela okryły białą lilię chwałą, jakiej nigdy nie śmiała się spodziewać, a którą szczyci się do dnia dzisiejszego, chociaż od tego czasu tyle upłynęło wieków.

Jakież to słowa rzekł o lilii Zbawiciel? — Powiadam wam — mówił do rzeszy — że ani Salomon we wszystkiej swej ozdobie nie bywał tak przybrany, jak jedna z tych.

Praktyczne rady.

— **Zdarza się**, że w Lutym i Marcu jarzyna z piwnicy twardo się gotuje i jest niesmaczna, jako to: kapusta, marchew, galarepa itd. szczególniej galarepa często się wyrzuca, jako nie do użycia wytuczniała. Przyczyną tego jest za suche przechowanie; piasek, którym były przykryte nie dość był wodą zwilżany. Osobliwie marchew i galarepy muszą być od czasu do czasu polewane. Bardzo się smak jarzyn poprawia, gdy się takowe przed użyciem na jednę lub dwie noce pozostawi na wolnym chłodnym powietrzu.

— **Aby się ręce** przy praniu nie ścierały, dobrze jest przez dni kilka przed praniem nacierać wierzch rąk słabym rozczynem szelaku, który w drogeryi lub u stolarza dostać można.

— **Przeciw rdzewieniu.** Bardzo często narzędzia wszelkiego rodzaju i w ogóle wyroby ze stali i żelaza wypada przechowywać w szafach lub skrzyniach. Jeżeli pomieszczenie jest wilgotne, a tego uniknąć, zwłaszcza na jesieni lub wiosnę, prawie niepodobna — to występuje na powierzchni rdza, która może zupełnie zniszczyć rezultat pracy. Zapobiega temu radykalnie zastosowanie chlorku wapna (Calcium chloratum crystallisatum), który posiada tę własność, że pochłania wilgoć z powietrza. Sposób zastósowania jest bardzo prosty, albowiem kilka kawałków tego chlorku wapna umieszcza się w lejku szklannym, wstawionym do butelki, którą znów stawia się do szafy lub skrzyni. Ma się rozumieć, że co pewien czas trzeba płyn z butelki wylać, a do lejka włożyć świeżego chlorku.

Rozmaitości.

* **O wytrzymałości lodu** panują między ludźmi wręcz mylne pojęcia, wskutek czego też tak liczne wydarzają się nieszczęścia. Otóż lód nabiera dopiero wytrzymałości, potrzebnej do uniesienia ciężaru jednego człowieka, gdy osięgnie grubość 4 centymetrów, ale mowa tu tylko o przeciętnej wadze człowieka, a więc o 140 do 150 funtach. Cięższe osoby i wtedy jeszcze zarwać się mogą. Tak samo niebezpiecznem jest przy takiej grubości nagromadzenie się większej ilości ludzi na ciaśniejszej przestrzeni. Dopiero gdy lód osięgnie grubość 8 centymetrów mogą się i najcięższe osoby bez obawy puszczać na powierzchnią jego, a przy grubości 12 centymetrów unieść zdoła i lżejsze powózki. Przy 35 centymetrach grubości utrzyma już i największe ciężary, np. działa, a także i całe zastępy ludzi. Rodzice więc, zanim pozwolą dzieciom używać ślizgawki, powinni się w każdym wypadku przekonać o grubości lodu. Nadmienić jeszcze wypada, że powyżej podane stopnie grubości lodu odpowiadają odnośnej wytrzymałości tylko podczas mrozów, podczas odwilży lód tak szybko kruszeje, że nawet przy znacznej grubości niebezpiecznie jest oddalać się zbytnio od brzegu.

* **W Syberyi** wielkie mrozy i znaczne odległości nie pozwalają przywozić ze wsi do miast mleka w stanie płynnym, radzą więc sobie na to w następujący sposób: Mleko świeżo udojone nalewają w płaskie miseczki i wystawiają na silny mróz, a po kilku godzinach zmarznięte chowają do zimnej piwnicy. Przed wyjazdem do miasta, miseczki się wynoszą i maczają w gorącej wodzie, a wydobyte krążki mleka ładuje się na wóz. W każdą miseczkę, włożona jest przedtem witka brzozowa, która służy następnie za rączkę, tak, że krążka nie trzeba dotykać palcami. Takie mleko nie może być fałszowane, gdyż śmietanka oddzieli się zupełnie od części wodnych i widać odrazu, o ile mleko jest tłuste. Dosyć rozgrzać taki krążek na mocnym ogniu, żeby się mleko złączyło ze śmietanką.

* **Dawne podanie głosi**, że w XII-tym wieku miasto szwajcarskie Bern, wówczas inne noszące nazwisko, miało być niespodziewanie zaskoczone przez nieprzyjaciela. Przed świtem jednakże pod murami zjawił się niedźwiedź, wypłoszony ze swoich legowisk przez zbrojne hufce. Pojawienie się zwierzęcia w pobliżu mieszkań ludzkich obudziło czujność straży i napad wroga został odparty. Wdzięczne miasto przybrało wtedy nazwę Bernu (od wyrazu Bär, niedźwiedź) i za herb wzięło postać swego wybawcy.

* **Prawodawca Sparty**, Likurg, zalecał swoim ziomkom umiarkowanie i wstrzemięźliwość we wszystkiem, nawet w mowie, ponieważ i słów marnować nie trzeba. Ztąd sposób mówienia zwięzły a dosadny, właściwy mieszkańcom Sparty, czyli Lakonii, zowie się stylem »lakonicznym.«



Gdzie jest bogaty kupiec, który ma przy sobie wiele pieniędzy?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.